

korzystania bądź zniszczenia”. Przekazał mi też nowinę, że chłopczyk wkrótce będzie miał rodzeństwo – również pochodzące z adoptowanego embrionu.

Kongres nie przyjął mojego weta tak ciepło. Demokrata, który zaproponował zmianę ustawy, uznał je za „cyniczną zagrywkę polityczną”. Ciężko się z tym zgodzić, skoro sondaże pokazywały, że moje stanowisko w tej sprawie nie cieszyło się popularnością. W ramach kary demokraci odmówili przyjęcia ustawy wspierającej alternatywne metody pozyskiwania komórek macierzystych. Skoro nie mogli finansować badań, które opierały się na niszczeniu embrionów, woleli nie finansować żadnych. Tak bardzo zależało im na wynalezieniu nowych lekarstw...

Kiedy demokraci zdobyli większość w Izbie Reprezentantów i senacie, podjęli jeszcze jedną próbę obalenia mojej strategii. Nancy Pelosi, nowa marszałek Izby, zaznaczyła nawet, że jest to jeden z jej priorytetów. W czerwcu 2007 roku po raz kolejny dostałem ustawę do podpisu – i po raz kolejny ją zawetowałem. Dzięki nieugiętości wielu republikanów mój sprzeciw udało się podtrzymać.

Pięć miesięcy później „New York Times” opublikował na okładce rewolucyjną wiadomość: „Naukowcy już nie potrzebują embrionów, by uzyskać komórkę macierzystą”. Artykuł opisywał, jak dwie grupy badaczy – jedna z Wisconsin, druga z Japonii – przekształciły dojrzałą komórkę skóry tak, że zachowywała się jak embrionalna komórka macierzysta. Dodając do niej zaledwie cztery geny, udało im się powtórzyć korzyści medyczne, jakie dawało czerpanie komórek z embrionów, ale bez wzbudzania moralnych kontrowersji.

Ich odkrycie odbiło się szerokim echem w społeczności naukowców. Zagorzali zwolennicy badań wychwalali ten przełom jako „spektakularny postęp” i na dodatek „etycznie nieskomplikowany”. Ian Wilmut, szkocki naukowiec, który sklonował owcę Dolly, ogłosił, że od tej pory nie będzie próbował klonować ludzkich zarodków, a zacznie wykorzystywać nowe technologie.

Byłem zachwycony tą informacją. Na taki przełom liczyłem, kiedy ogłaszałem swoją decyzję w 2001 roku. Charles Krauthammer, jeden

z najbardziej przenikliwych publicystów w Ameryce i konsekwentny krytyk tej decyzji, napisał: „Werdykt jest prosty: rzadko prezydent – tak oczerniany za swoją postawę – zostaje w pełni zrehabilitowany”.

W przyszłości nasz naród będzie musiał stawić czoła wielu dylematom dotyczącym bioetyki – od inżynierii genetycznej po klonowanie. A historia osądzi nas w dużej mierze na podstawie tego, jak odpowiemy na te wyzwania rzucone ludzkiej godności. Jak wtedy w 2001 roku, tak i teraz wierzę, że nauka i etyka mogą iść ze sobą w parze. Dzięki rozsądnej strategii możemy zapoczątkować metody leczenia, o których marzyła Nancy Reagan, niekoniecznie zmierzając w stronę świata przedstawionego przez Aldousa Huxleya.



Po orędziu wygłoszonym w sierpniu 2001 roku niektórzy komentatorzy uznali moją decyzję za najważniejszą z tych, które podjąłem podczas prezydentury. Mieli rację, ale nie na długo.

SĄDNY DZIEŃ

We wtorek 11 września 2001 roku obudziłem się jeszcze przed świtem w hotelowym apartamencie w kurorcie Colony Beach and Tennis Resort, niedaleko Sarasoty na Florydzie. Dzień zacząłem od lektury Biblii, później zszedłem na dół pobiegać. Była jeszcze ciemna noc. Agenci Secret Service przyzwyczaili się już do tego widoku, ale miejscowym takie bieganie po ciemku mogło się wydać dziwne.

Po powrocie do hotelu wziąłem szybki prysznic, zjadłem lekkie śniadanie i przejrzałem poranne gazety. Największym wydarzeniem był powrót Michaela Jordana ze sportowej emerytury – znów miał zagrać w NBA. Inne pisma donosiły o prawyborach burmistrza Nowego Jorku i podejrzeniu przypadku choroby wściekłych krów w Japonii.

Około ósmej otrzymałem codzienny prezydencki raport wywiadu¹. Na bieżąco dostawałem ściśle tajne dane wywiadowcze połączone z dogłębną analizą geopolityczną – to była zawsze jedna z najbardziej fascynujących części dnia. Tamtego ranka Mike Morell, analityk CIA, przekazał mi informacje o Rosji, Chinach i palestyńskim powstaniu na Zachodnim Brzegu Jordanu i w Strefie Gazy.

Zaraz po briefing u udaliśmy się do szkoły podstawowej imienia Emmy B. Booker, gdzie miałem mówić o reformie edukacji.

W drodze z samochodu do sali szkolnej Karl Rove powiedział, że samolot uderzył w World Trade Center. Wydało mi się to dziwne. Wyobraziłem sobie niewielki samolot śmigłowy, który całkowicie stracił orientację i zoczył z kursu. Później zadzwoniła Condi. Rozmawiałem z nią z bezpiecznego telefonu² znajdującego się w jednej z klas, którą

1. PDB – *Presidential Daily Briefing* [przyp. tłum.].

2. Telefon do prowadzenia zaszyfrowanych rozmów [przyp. tłum.].

na czas mojej podróży przerobiono na centrum łączności z personelem Białego Domu. Przekazała mi, że samolot, który uderzył w WTC, wcale nie był awionetką, tylko rejsowym pasażerskim odrzutowcem.

Byłem oszołomiony. „Ten samolot musiał mieć najgorszego pilota na świecie”, pomyślałem. „Jak kapitan mógł za dnia nie zobaczyć drapacza chmur? Może miał atak serca?” Poleciałem Condi kontrolować sytuację, a Dana Bartletta, dyrektora biura prasowego, poprosiłem o przygotowanie oświadczenia o pełnym wsparciu ze strony federalnych służb zarządzania kryzysowego.

Następnie przywitałem się z przemiłą dyrektorką szkoły, Gwen Rigell. Przedstawiła mnie nauczycielce, Sandrze Kay Daniels, i jej drugoklasistom. Pani Daniels zaczęła ćwiczyć z dziećmi czytanie. Poprosiła, by wyjęły swoje książki. Wtedy poczułem za sobą czyjąś obecność. To był Andy Card. Przysunął się do mnie i wyszeptał: „Kolejny samolot uderzył w drugą wieżę. Ameryka została zaatakowana”.

Moją pierwszą reakcją było oburzenie. Ktoś ośmielił się zaatakować nasz kraj?! Zapłaci za to. Spojrzałem na twarze uczniów i pomyślałem, jak ich niewinność kontrastuje z brutalnością napastników. Miliony osób, takich jak te dzieci, wkrótce będą liczyły na to, że je ochronię. Postanowiłem ich nie zawieść.

W głębi sali zauważyłem dziennikarzy, którzy dostawali już najświeższe informacje na komórki i pagery. Wtedy włączył się mój instynkt. Wiedziałem, że moja reakcja zostanie nagrana i rozpowszechniona na całym świecie. Naród ma prawo być w szoku, prezydent – nie. Gdybym gwałtownie wybiegł, nie tylko przestraszyłbym dzieci, lecz także spowodował fałę paniki w całym kraju.

Lekcja trwała nadal, ale myślami byłem już daleko od tego, co się działo w klasie. Kto mógł to zrobić? Jak duże były straty? Jak powinien się zachować rząd?

Rzecznik prasowy Białego Domu, Ari Fleischer, ustawił się pomiędzy reporterami a mną. Trzymał w rękach kartkę z napisem: „Nic jeszcze nie mów”. Nie zamierzałem. Zdecydowałem się na następujący scenariusz:

po skończonej lekcji wyjdę spokojnie z sali, zbiorę informacje i dopiero wtedy zabiorę głos.

Jakieś siedem minut po tym, jak Andy wszedł do klasy, wróciłem do klasy przerobionej na centrum łączności, do której ktoś wniósł telewizor. Z przerażeniem oglądałem nagranie puszczane w zwolnionym tempie, na którym drugi samolot uderza w wieżę. Eksplozja ognia i dymu była znacznie gorsza, niż sobie wyobrażałem. Kraj był wstrząśnięty. Musiałem natychmiast dostać się do telewizji. Odręcznie nabazgrałem oświadczenie. Chciałem zapewnić Amerykanów, że odpowiemy na ten atak i postawimy sprawców przed sądem. Potem zamierzałem jak najszybciej wrócić do Waszyngtonu.

„Szanowni państwo, to bardzo trudna chwila dla Ameryki”, zacząłem. „...Dwa samoloty uderzyły w wieżowce World Trade Center w jawnym terrorystycznym ataku na nasz kraj”. Wśród zgromadzonych na sali rodziców i przedstawicieli miejscowej społeczności rozległy się stłumione okrzyki – wszyscy spodziewali się przecież przemówienia o szkolnictwie. „Akty terroryzmu wymierzone w nasz naród nie mają racji bytu”, zakończyłem, prosząc o uczczenie ofiar chwilą ciszy.

Później dowiedziałem się, że moje słowa były prawie powtórzeniem tego, co tata powiedział po inwazji Saddama Husajna na Kuwejt: „Ta agresja nie ma racji bytu”. Nie powtórzyłem ich celowo. W notatkach zapisałem sobie: „Terroryzm skierowany przeciwko Ameryce nie wygra”. Słowa ojca musiały widocznie tkwić w mojej podświadomości i w chwili kolejnego kryzysu wyostały się na powierzchnię.

Secret Service chciał umieścić mnie na pokładzie Air Force One, i to jak najszybciej. Kiedy konwój podążał szosą Florida Route 41, zadzwoniła do mnie Condi z informacją o trzecim ataku. Tym razem na Pentagon. Oparłem się o siedzenie, a jej słowa powoli do mnie docierały. Wszystko stało się jasne. Pierwszy samolot mógł mieć wypadek. Drugi definitywnie potwierdził atak terrorystyczny. Trzeci był wypowiedzeniem wojny.

Krew się we mnie wzburzyła. Pomyślałem, że znajdziemy tych, którzy to zrobili, i skopimy im tyłki.

Przygotowywanie się do wojny było widoczne już na lotnisku. Prezydencki samolot otaczali uzbrojeni agenci. Na samym szczycie schodów stały dwie stewardesy, a ich twarze zdradzały strach i smutek. Wiedziałem, że miliony Amerykanów czują się podobnie. Uścisnąłem je i powiedziałem, że wszystko będzie dobrze.

Kiedy wszedłem do prezydenckiej kabiny, poprosiłem, żeby zostawiono mnie samego. Myślałem o lęku, jaki musiał paraliżować pasażerów tych samolotów, i o rozpacz, jaką czuły rodziny ofiar. Tak wielu ludzi straciło tych, których kochało, bez żadnego ostrzeżenia. Modliłem się do Boga o pocieszenie dla nich oraz o przeprowadzenie kraju przez ten okres próby.

Przypomniały mi się słowa jednej z moich ulubionych pieśni: „Boże chwały, Boże łaski”³: „Daj nam mądrość, daj nam odwagę, byśmy stawili czoła tej godzinie”.

Podczas gdy moje emocje były podobne do emocji większości Amerykanów, obowiązki miałem zupełnie inne. Czas na żałobę miał przyjść później. Później też mogliśmy szukać sprawiedliwości. Ale najpierw należało opanować kryzys. Doznaliśmy najbardziej niszczycielskiego ataku od czasu Pearl Harbor. Po raz pierwszy od wojny w 1812 roku wróg uderzył w stolicę. Tego jednego ranka stało się oczywiste, jakie będzie główne zadanie mojej prezydentury – chronić ludzi i bronić wolności, która została zaatakowana.

Skuteczne reagowanie kryzysowe należy zawsze rozpocząć od spokojnych przemyśleń. To właśnie próbowałem robić na Florydzie. Następnie należało zebrać informacje i podjąć działania, by zapewnić bezpieczeństwo narodowi oraz pomóc obszarom dotkniętym tragedią. Potem przychodził czas na obmyślenie strategii, jak pociągnąć terrorystów do odpowiedzialności, by nie uderzyli ponownie.

Zadzwoiłem do Dicka, kiedy tylko Air Force One wzbił się na piętnaście tysięcy metrów nad ziemię, znacznie wyżej niż podczas typowych przelotów. Dick został zabrany do Prezydenckiego Alarmowego Centrum Dowodzenia⁴, kiedy agenci Secret Service przestraszyli się, że kolejny samolot może uderzyć w Biały Dom. Przekazałem mu, że będę

3. *God of Grace and God of Glory* [przyp. tłum.].

4. PEOC – *Presidential Emergency Operations Center* [przyp. tłum.].

podejmował decyzje z góry, z pokładu samolotu, i liczę na jego pomoc we wcielaniu ich w życie na dole.

Dwie pierwsze podjąłem bardzo szybko. Wojsko wysłało nad Waszyngton i Nowy Jork bojowe patrole myśliwców przeznaczonych do przechwytywania samolotów nieodpowiadających na sygnały. Przechwytywanie było umiejętnością, której uczyłem się jako pilot F-102 w Powietrznej Gwardii Narodowej Teksasu trzydzieści lat wcześniej. Wówczas zakładaliśmy, że celem będą sowieckie bombowce. Teraz okazały się nim samoloty pasażerskie pełne niewinnych ludzi...

Musieliśmy sprecyzować zasady działania. Powiedziałem Dickowi, że nasi piloci mają podejmować próby kontaktu z podejrzanymi samolotami i w miarę możliwości sprowadzać je bezpiecznie na ziemię. Gdyby się nie udało, wydałem zgodę na ich zestrzelenie. Uprowadzone samoloty były w tym wypadku wojenną bronią – i mimo że ich zniszczenie wiązałoby się z bolesnymi stratami, poświęcenie jednego mogło uratować rzeszę ludzi na ziemi. Właśnie podjąłem pierwszą decyzję jako naczelny dowódca sił zbrojnych.

Dick oddzwonił kilka minut później. Condi, Josh i wyżsi urzędnicy do spraw bezpieczeństwa narodowego dołączyli do niego w Alarmowym Centrum Dowodzenia. Otrzymali informację, że samolot niereagujący na polecenia kieruje się w stronę Waszyngtonu. Dick chciał, żebym potwierdził rozkaz zestrzelenia. Potwierdziłem. Później dowiedziałem się, że Josh Bolten nalegał na wyjaśnienie, żeby zapewnić przestrzeganie łańcucha dowodzenia. Pomyślałem o czasach, kiedy sam byłem pilotem. „Nie wyobrażam sobie, co bym czuł, otrzymując taki rozkaz”, powiedziałem do Andy’ego. Naprawdę miałem nadzieję, że nie trzeba będzie go wykonywać.

Druga decyzja polegała na wybraniu miejsca lądowania Air Force One. Uważałem, że powinniśmy wracać do Waszyngtonu. Chciałem być w Białym Domu, żeby pokierować odpowiedzią na zamach. Wierzyłem też, że widok prezydenta w zaatakowanej stolicy pokrzepi Amerykanów.

Zaraz po odlocie z Sarasoty Andy i Eddie Marintel – silny, atletyczny agent Secret Service z Pittsburga, który dowodził moją ochroną tamtego dnia – zaczęli studzić mój zapał. Warunki w Waszyngtonie były zbyt niepewne, a ryzyko kolejnego ataku zbyt duże. Federalna Agencja

Lotnictwa⁵ sądziła, że uprowadzono sześć samolotów, co oznaczało, że trzy wciąż mogły być w powietrzu. Powiedziałem, że nie zamierzam dać się zastraszyć terrorystom. „To ja jestem prezydentem”, powiedziałem twardo, „i mówię, że lecimy do Waszyngtonu”.

Nie ustąpili. Nie mogłem znieść myśli, że terroryści zmuszają mnie do ucieczki. Ale równie mocno, jak chciałem wrócić do stolicy, zdawałem sobie też sprawę, że do moich obowiązków należy zapewnienie ciągłości rządu. Zabicie prezydenta byłoby dla wroga ogromnym propagandowym zwycięstwem. Wojskowi i agenci Secret Service zalecili zawrócenie samolotu do bazy lotniczej w Barksdale w Luizjanie, gdzie moglibyśmy uzupełnić paliwo. Opuściłem. Kilka minut później poczułem, że samolot ostro skręca na zachód.

Jedną z przyczyn mojej wielkiej frustracji tamtego dnia był żaloszny system łączności w samolocie prezydenckim. Na pokładzie nie mieliśmy telewizji satelitarnej. Byliśmy zdani na miejscowe stacje, które udało nam się wychwycić. Niestety, po kilku minutach oglądania danego kanału zakłócenia uniemożliwiały dalszy odbiór.

Zobaczyliśmy jednak wystarczająco dużo przelotnych relacji, żeby zrozumieć, jak okropne sceny oglądają Amerykanie. Niektórzy pozostawieni własnemu losowi ludzie tracili życie, skacząc z najwyższych pięter wież World Trade Center. Inni wychylali się z okien, licząc na ratunek. Mogłem sobie wyobrażać ich udrękę i rozpacz. Piastowałem najpotężniejszy urząd na świecie, a nie mogłem zrobić nic, żeby im pomóc.

W którymś momencie sygnał telewizyjny utrzymał się na tyle długo, że zobaczyłem, jak zawala się południowa wieża. Niecałe pół godziny później runęła druga. Wcześniej miałem nadzieję, że tym zdesperowanym ludziom z najwyższych pięter uda się jeszcze uciec. Teraz nie było już na to szans.

Runięcie wież spotęgowało katastrofę. W zwykły roboczy dzień w budynku pracowało jakieś pięćdziesiąt tysięcy osób. Niektórzy się ewakuowali, ale zastanawiałem się, ilu ludzi zostało w środku. Tysiące? Dzie-

5. FAA – *Federal Aviation Administration* [przyj. tłum.].

siątki tysięcy? Nie miałem pojęcia. Ale byłem pewien, że śmierci tylu Amerykanów nie oglądał przede mną żaden prezydent.

Na bieżąco dostawałem najnowsze informacje z Alarmowego Centrum Dowodzenia od Dicka i Condi. Próbowaliśmy utrzymać gorącą linię, ale sygnał ciągle zanikał. W kolejnych latach zastępca szefa personelu, Joe Hagin, przeprowadził prace nad unowocześnieniem systemów łączności Centrum, Pokoju Sytuacyjnego w Białym Domu i Air Force One.

Informacje, które otrzymywaliśmy, często były sprzeczne i zupełnie nieprawdziwe. Doświadczałem „mgły wojny”⁶ – usłyszałem o bombie w departamencie stanu, pożarze w parku National Mall⁷, porwanym koreańskim samolocie, który miał lecieć do Stanów, i groźbach pod adresem Air Force One. Dzwoniący z groźbą użył tajnej nazwy samolotu – Angel – którą znali nieliczni. Najdziwniejszą wiadomością była ta o obiekcie lecącym z ogromną prędkością w kierunku naszego ranczo w Crawford. Wszystkie te informacje okazały się fałszywe. Ale biorąc pod uwagę okoliczności, każdy raport musieliśmy brać na serio.

Tylko jedna wiadomość okazała się prawdziwa. Czwarty samolot rozbił się gdzieś w Pensylwanii. „Zestrzelono go czy sam się rozbił?”, zapytał Dick Cheney. Nikt nie wiedział. Zrobiło mi się niedobrze. Czy ci niewinni Amerykanie zginęli w wyniku mojego rozkazu?

Kiedy „mgła” się podniosła, dowiedziałem się o bohaterstwie pasażerów tego lotu – lotu numer 93. Po tym, jak podczas rozmów telefonicznych z najbliższymi usłyszeli o wcześniejszych atakach, postanowili zdobyć kokpit. Wśród ostatnich słów nagranych podczas lotu słychać mężczyznę o nazwisku Todd Beamer, który mobilizuje innymi słowami „Do ataku!”. Komisja badająca później wydarzenia z 11 września doszła do wniosku, że bunt pasażerów lotu 93 być może ocalił od zniszczenia Kapitol lub Biały Dom. Ten akt odwagi należy do największych w amerykańskiej historii.

6. Mgła wojny – niewiedza co do wielkości i rozmieszczenia sił wroga, jego planów, sytuacji na polu bitwy itp. Termin wprowadzony w traktacie „O wojnie” przez Karla von Clausewitza [przyp. red.].

7. Wielki park stanowiący główną oś urbanistyczną i widokową Waszyngtonu, otoczony przez Kapitol, Biały Dom, liczne urzędy centralne, muzea, mauzolea i pomniki [przyp. red.].

Przez cały ranek próbowałem się skontaktować z Laurą. Miała złożyć oświadczenie przed senacką komisją, żeby poprzeć moją edukacyjną inicjatywę – mniej więcej w tym samym czasie, kiedy samoloty uderzyły w World Trade Center. Próbowałem uzyskać połączenie, ale ciągle zrywało łączność. Nie mogłem uwierzyć, że prezydent Stanów Zjednoczonych nie może się skontaktować z własną żoną, która przebywa na Kapitolu! „Co się do cholery dzieje?”, warknąłem na Andy’ego.

Kiedy dotarliśmy do bazy, w końcu udało mi się porozmawiać z Laurą. Jej głos zawsze działał na mnie uspokajająco, ale tego dnia szczególnie. Powiedziała, że agenci Secret Service zabrali ją w bezpieczne miejsce. Kiedy dodała, że rozmawiała też z Barbarą i Jenną i z obydwoma wszystko jest w porządku, kamień spadł mi z serca. Zapytała, kiedy wrócę do Waszyngtonu. Powiedziałem, że wszyscy nalegają, żebym tego nie robił, ale postaram się tam dotrzeć jak najszybciej. Nie miałem pojęcia, czy okaże się to prawdą, ale miałem nadzieję, że tak.

Po wylądowaniu w Barksdale miałem wrażenie, że znalazłem się na planie filmowym. Eskortowały nas F-16 z mojej starej jednostki z bazy lotniczej Ellington w Houston. Drogę kołowania obstawiono bombowcami. To była niesamowita sceneria – siła naszego lotnictwa wojskowego w całej okazałości. Wiedziałem, że tylko kwestią czasu jest wykorzystanie tej potęgi przeciwko tym, którzy nas zaatakowali.

Prezydencki konwój w Barksdale nie był przygotowany, więc generał Tom Keck musiał improwizować. Wprost ze schodów samolotu agenci wepchnęli mnie do pojazdu, który pomknął pasem startowym z prędkością co najmniej 80 mil na godzinę. Kiedy przy tej szybkości kierowca zaczął brać zakręty, wrzasnąłem: „Zwolnij, chłopcze, w tej bazie nie ma terrorystów!”. Tamtego dnia to chyba właśnie wtedy byłem najbliży śmierci.

Skontaktowałem się z Donem Rumsfeldem przez szyfrowany telefon w biurze generała Kecka. Ciężko było go namierzyć, bo po ataku na Pentagon od razu zabrał się do działania – po uderzeniu samolotu wybiegł na zewnątrz i pomagał układać poszkodowanych na noszach.

Powiedziałem mu, że traktuję te ataki jako wypowiedzenie wojny i zatwierdzam jego decyzję, by postawić siły zbrojne w stan najwyższej

gotowości – na poziomie DefCon 3 – po raz pierwszy od wojny arabsko-izraelskiej w 1973 roku. Amerykańskie obiekty wojskowe na całym świecie zwiększyły środki ostrożności i przygotowały się do natychmiastowej reakcji na kolejne rozkazy. Powiedziałem Donowi, że priorytetem jest przebrnięcie przez początkowy kryzys, ale zaraz potem planowałem poważną militarną kontrę. „Odpowiedź to będzie już twój ruch – i (Przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów) Dicka Myersa”, dodałem.

O 11.30 czasu Luizjany upłynęły prawie trzy godziny od momentu mojego przemówienia. Martwiłem się, że ludzie odniosą wrażenie, iż rząd się zagubił. Laura wyrażała takie same obawy. Nagrałem krótką wypowiedź, w której wyjaśniałem, że już podjęliśmy działania oraz że nasz naród czeka sprawdzian. Stwierdzenie było na miejscu, ale tło – sterylna sala konferencyjna gdzieś w bazie wojskowej w Luizjanie – nie zwiększało wiarygodności. Ludzie powinni zobaczyć swojego prezydenta w Waszyngtonie.

Naciskałem na Andy'ego, żebyśmy jak najszybciej wracali do Białego Domu. Według agentów Secret Service nadal było to ryzykowne. Polecili nam udać się do Dowództwa Strategicznego⁸ w bazie lotnictwa Offutt w Nebrasce. Tam można było skorzystać z bezpiecznych pomieszczeń i niezawodnych systemów łączności. Zrezygnowany, po raz kolejny odłożyłem powrót do Waszyngtonu. Zanim wylecieliśmy z Barksdale, do brzucha samolotu ładowano dodatkowe zapasy wody i jedzenia. Musieliśmy być gotowi na każdą okoliczność.

Po dotarciu do Offutt udałem się do centrum dowodzenia wypełnionego oficerami wojskowymi, którzy brali udział we wcześniej zaplanowanych ćwiczeniach. Nagle usłyszałem w radiu trzeszczący głos: „Panie prezydencie, namierzyliśmy samolot z Madrytu niereagujący na polecenia. Czy mamy go zestrzelić?”. Moją pierwszą reakcją była myśl: „Kiedy to się wreszcie skończy?”. Później wyłożyłem im zasady użycia siły⁹, które

8. *Strategic Command* – dowództwo strategicznych sił nuklearnych USA, utworzone podczas zimnej wojny dla obrony USA w przypadku III wojny światowej [przyp. red.].

9. *Rules of Engagement (ROE)* – zasady, na jakich wojska mają prawo rozpocząć lub prowadzić walkę [przyp. red.].

już wcześniej zatwierdziłem. W głowie rysowały mi się najczarniejsze scenariusze. Jakie byłyby dyplomatyczne następstwa zestrzelenia obcego samolotu? A co byłoby, gdybyśmy zareagowali za późno i terroryści zdążyliby uderzyć w swój cel?

W głośniku usłyszeliśmy kolejny komunikat: „Lot z Madrytu”, recytował ktoś, „wylądował w Portugalii, w Lizbonie”.

„Dzięki Bogu”, pomyślałem. Ale to był kolejny przykład „mgły wojny”.

Przenieśliśmy się do centrum łączności, skąd poprowadziłem wideokonferencję w sprawach bezpieczeństwa narodowego. Ostrożnie prze-myślałem wszystko, co chciałem powiedzieć. Rozpocząłem od oczywistej deklaracji. „Rozpoczynamy wojnę z terroryzmem. Od dziś jest ona priorytetem naszej administracji”. Później przedstawiono mi bieżące informacje o akcji ratunkowej. Wreszcie zwróciłem się do George’a Teneta z pytaniem: „Kto to zrobił?”.

Odpowiedział krótko: „Al-Kaida”.

Przed 11 września większość Amerykanów nigdy nie słyszała o Al-Kaidzie. Ja dowiedziałem się o tej siatce terrorystycznej jako kandydat na prezydenta. Al-Kaida, po arabsku „baza”, była fundamentalistyczną islamską organizacją terrorystyczną wspieraną przez rząd talibów w Afganistanie. Jej liderem był Osama bin Laden, radykalny Saudyjczyk wygnany z królestwa po tym, jak sprzeciwił się rządowi, gdy ten pozwolił amerykańskim żołnierzom na pobyt w kraju podczas wojny w Zatoce Perskiej. Grupa miała ekstremistyczne poglądy i uważała za swój obowiązek zabicie wszystkich, którzy staną jej na drodze.

Al-Kaida słynęła z zamiłowania do ataków dających wielki rozgłos. Trzy lata wcześniej przeprowadziła jednoczesne zamachy na dwie ambasady amerykańskie we wschodniej Afryce. Zginęło w nich ponad 200 osób, a ponad 5 tysięcy zostało rannych. Organizacja stała też za atakiem u wybrzeży Jemenu na okręt wojenny USS Cole, w wyniku którego w październiku 2000 roku życie straciło 17 amerykańskich marynarzy. 11 września po południu wywiad znał już nazwiska członków Al-Kaidy, którzy znajdowali się na pokładzie uprowadzonych samolotów.

Al-Kaida spędzała sen z powiek CIA jeszcze przed 11 września, ale wywiad wskazywał raczej na zamorskie cele. Późną wiosną i latem 2001 roku zaostrzyliśmy wymogi bezpieczeństwa w zagranicznych ambasadach, zacieśniliśmy współpracę ze służbami wywiadowczymi innych krajów i za pośrednictwem Federalnej Agencji Lotnictwa wydaliśmy ostrzeżenia o potencjalnych uprowadzeniach samolotów na międzynarodowych trasach. W pierwszych dziewięciu miesiącach mojej prezydentury udało nam się przeszkodzić terrorystom w atakach na Paryż, Rzym, Turcję, Izrael, Arabię Saudyjską, Jemen i wiele innych miejsc.

Latem poleciłem CIA, by ponownie przeanalizowała możliwości Al-Kaidy w zakresie ataku na Stany Zjednoczone. Na początku sierpnia w ramach prezydenckiego briefingu usłyszałem, że bin Laden od dłuższego czasu zamierzał uderzyć gdzieś w Ameryce, ale wywiad nie znalazł żadnego konkretnego planu. „Nie udało nam się potwierdzić kilku sensacyjnych doniesień, jakoby bin Laden zamierzał porwać amerykański samolot”¹⁰, powiedziano mi.

11 września stało się jasne, że wywiad przeoczył coś wielkiego. To uchybienie było alarmujące, więc oczekiwałem wyjaśnień. Uznałem jednak, że sam środek kryzysu nie jest właściwym momentem, żeby szukać winnych. Obawiałem się jednak, że w Stanach może być więcej członków Al-Kaidy.

Spojrzałem na wideokonferencyjny ekran w schronie w Offutt i powiedziałem George’owi, **żeby dobrze nastawiał uszu, co oznaczało słuchanie wszystkich źródeł wywiadowczych i sprawdzanie każdego śladu.**

Jasno dałem do zrozumienia, że w tej wojnie zamierzam wykorzystać wojsko, kiedy przyjdzie na to czas. Nasza odpowiedź nie miała być jednak „ukłuciem szpilki”, jakim byłoby użycie rakiet samosterujących. Jak to później wyjaśniłem, zamierzaliśmy zrobić więcej, niż „zrzucić pocisk za milion dolarów na namiot wart pięć dolarów”. Odpowiedź Ameryki na ataki musiała być przemyślana, potężna i skuteczna.

10. Źródło doniesień – zagraniczna agencja wywiadowcza – pozostaje tajne [przyp. aut.].

Podczas wideokonferencji musieliśmy omówić jeszcze jedną kwestię: kiedy będę mógł wrócić do Waszyngtonu. Szef Secret Service, Brian Stafford, twierdził, że stolica nadal nie jest bezpieczna. Tym razem nie ustąpiłem. Postanowiłem zwrócić się do narodu i nie było mowy, żebym zrobił to z podziemnego bunkra w Nebrasce.

Podczas powrotnego lotu Andy i Mike Morell z CIA przyszli do sali konferencyjnej. Mike przekazał mi, że według francuskiego wywiadu członkowie Al-Kaidy z jej tak zwanych uśpionych komórek planują drugą falę ataków w Stanach. To było przerażające określenie – druga fala. Miałem nadzieję, że Ameryka podniesie się po zamachu z 11 września bez większej paniki, ale po kolejnej serii ataków strach mógłby być już nie do opanowania. To był jeden z najczarniejszych momentów tamtego dnia.

Podczas lotu do Waszyngtonu oglądałem na pokładzie samolotu relację telewizyjną i zobaczyłem zdjęcie Barbary Olson. Barbara była utalentowaną komentatorką i żoną Teda Olsona, pełnomocnika rządu na rozprawach przed Sądem Najwyższym. To on reprezentował mnie w sprawie o ponowne liczenie głosów po wyborach prezydenckich. Barbara znajdowała się na pokładzie lotu 77 linii American Airlines, który uderzył w Pentagon. Stała się moim pierwszym osobistym związkiem z tą tragedią. Zadzwoiłem do Teda. Był spokojny, jednak po jego głosie poznałem, że jest zszokowany i załamany. Powiedziałem, jak niezmiernie mi przykro. Ted poinformował mnie, że Barbara dzwoniła do niego z uprowadzonego samolotu i spokojnie relacjonowała przebieg wydarzeń. Do końca pozostała patriotką. Przyrzekłem mu, że znajdziemy odpowiedzialnych za jej śmierć.

Podczas powrotnego lotu miałem też okazję sprawdzić, co dzieje się z moimi rodzicami – wieczór 10 września spędzili w Białym Domu i opuścili go następnego dnia rano. Byli akurat w powietrzu, kiedy przyszła wiadomość o zamachach. Operator połączył mnie z tatą. Słyszałem, że się boi. Nie o moje bezpieczeństwo – bo ufał, że Secret Service zdoła mnie ochronić, ale raczej o stres, jaki przeżywam. Próbowałem go uspokoić. „Wszystko w porządku”, zapewniałem.

Tata przekazał słuchawkę mamie.

„Gdzie jesteście?”, zapytałem.

„W motelu w Brookfield, w Wisconsin”, odpowiedziała.

„Co wy, u licha, tam robicie?”

„Synu”, odparła, „to przez ciebie nasz samolot został zmuszony do lądowania”.

Nadzwyczajnym wyczynem było to, że sekretarz transportu, Norm Mineta, oraz Federalna Agencja Lotnictwa nadzorowały bezpieczne lądowanie czterech tysięcy samolotów w zaledwie dwie godziny. Miałem nadzieję, że to zakończy powietrzny terror.

Zacząłem się zastanawiać, co powiem narodowi, kiedy wieczorem będę wygłaszał przemówienie z Gabinetu Owalnego. Najpierw przyszło mi do głowy, żeby przekazać, że zaczęliśmy wojnę. Ale kiedy oglądałem tę rzeź na ekranie telewizora, zdałem sobie sprawę, że wszyscy nadal są w szoku. Deklaracja wojny wywołałaby tylko jeszcze większy strach. Postanowiłem zatem poczekać z tym jeden dzień.

Chciałem ogłosić najważniejszą decyzję, jaką podjąłem: Stany Zjednoczone uznają każdy kraj, który udzielił schronienia terrorystom, za odpowiedzialny za te akty przemocy. Ta nowa doktryna była przeciwieństwem dotychczasowej, wedle której organizacje terrorystyczne były grupami traktowanymi inaczej niż ich sponsorzy. Musieliśmy zmusić te kraje do wyboru: chcą walczyć z terrorystami czy raczej dzielić ich los. I musieliśmy prowadzić wojnę ofensywnie, atakując terrorystów za granicą, zanim oni znowu zaatakują nas.

Chciałem też zakomunikować swoją odrazę i oburzenie – mord z premedytacją na niewinnych ludziach jest bowiem aktem oczywistego zła. Przede wszystkim jednak chciałem nieść ludziom pociechę i przekazać im moje postanowienie – pociechę, że podniesiemy się po tym ciosie, i postanowienie, że terrorystom zostanie wymierzona sprawiedliwość.

Air Force One wylądował w bazie Andrews w stanie Maryland zaraz po 18.30. Szybko przeniosłem się do śmigłowca Marine One, który w ciągu dziesięciu minut przetransportował mnie na Południowy Trawnik Białego Domu. Helikopter przechylał się w prawo i w lewo w manewrach unikowych. Nie bałem się. Wiedziałem, że piloci HMX-1¹¹ bezpiecznie dostarczą mnie do domu.

Spojrzałem na opustoszały Waszyngton. Z daleka widziałem dym unoszący się nad Pentagonem. Symbol militarnej potęgi tlił się. Uderzyło

11. Szwadron lotnictwa należący do marines, który zapewnia transport prezydenta i innych wysokich urzędników USA śmigłowcami [przyp. red.]

mnie, jak wykwalifikowany i jednocześnie pozbawiony zasad musiał być pilot Al-Kaidy, żeby wlecieć w tak nisko położony budynek. Moje myśli powędrowały ku historii. To, co się stało, wyglądało na współczesny Pearl Harbor. I tak jak Franklin Roosevelt zmobilizował naród, by bronił wolności, tak moim obowiązkiem było teraz poprowadzenie nowego pokolenia, by broniło Ameryki. Zwróciłem się do Andy'ego słowami: „Patrzysz na pierwszą wojnę XXI wieku”.

Pierwszym przystankiem po wylądowaniu był Gabinet Ovalny. Przeczytałem szkic swojego przemówienia i zmieniłem w nim kilka linijek. Następnie zszedłem do Prezydenckiego Alarmowego Centrum Dowodzenia, które stanowi część podziemnej konstrukcji zbudowanej na początku zimnej wojny na wypadek wielkiego ataku. Bunkier jest bez przerwy obsługiwany przez żołnierzy i ma zapasy wody, jedzenia i prądu, na wypadek gdyby prezydent i jego rodzina musieli zostać w nim przez dłuższy czas. W centrum znajduje się sala konferencyjna z dużym drewnianym stołem – podziemna wersja Pokoju Sytuacyjnego. Tam czekała na mnie Laura. Nie mieliśmy zbyt dużo czasu, żeby porozmawiać, ale nawet nie musieliśmy. Jej uścisk był o wiele ważniejszy niż słowa.

Poszedłem z powrotem na górę, przeczytałem przemówienie i skierowałem się do Gabinetu Ovalnego.

„Dziś nasi współobywatele, nasza cywilizacja, nasza wolność zostały zaatakowane serią rozmyślnych śmiercionośnych aktów terroru”, zacząłem. Opisałem brutalność zamachów i bohaterstwo tych, którzy na nie odpowiedzieli. Dalej mówiłem: „Skierowałem wszystkie siły naszego wywiadu oraz instytucji egzekwujących prawo, by znalazły odpowiedzialnych za ataki i dochodziły sprawiedliwości. Nie będziemy rozróżniać terrorystów, którzy dokonali tych zamachów, i tych, którzy ich chronią”.

Zakończyłem słowami psalmu 23: „Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulęknę, bo Ty jesteś ze mną”¹². Miałem wrażenie, że to

12. Księga Psalmów 23, 4 [przyp. tłum.].